

# Jan Błoński

---

## Strzykawka Gombrowicza

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1 (55), 1-7

---

1981

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Komitet  
Nauk  
o  
Literaturze Polskiej  
i  
Instytut  
Badań Literackich  
PAN

dwumiesięcznik 1 (55), 1981

# teksty teksty teksty

TEORIA LITERATURY · KRYTYKA · INTERPRETACJA

## Strzykawka Gombrowicza

*Pisał mi Zdzisław Łapiński, że chciał wydać książkę wspomnień o Gombrowiczu, kiedy jednak pozbiierał wszystko, co dostępne, stwierdził zdumiony, że pamiętnikarskich relacji po prostu za mało (prócz oczywiście Kępińskiego). Przestraszyła mnie ta narodowa beztroska: tylu zachwycało się dziełem, tylu Gombrowicza odwiedzało — a przynajmniej chwaliło się, że odwiedzało — a tak niewielu zdobyło się na trud zapisania słów i zachowań pisarza. Jeszcze jeden dowód kulturalnej niegospodarności! Człowiek piszący — zwłaszcza tej miary — sam jest znakiem i dokumentem godnym starannego opisania. Primum describere, deinde philosophari. Ale na dobrą sprawę powinienem odnieść to zdanie najpierw do siebie.*

*Albowiem mnie Łapiński zawstydził. Gombrowicza spotkałem kilkakrotnie, ale zapisywałem później nie to, co mówił, ale to, co myślałem. Zabrakło mi pokory (czy w ogóle nie brakuje nam pokory wobec naszych — niezbyt licznych — wielkości?). Może jednak jest w tych notatkach coś znamiennego? Jeśli nie dla Gombrowicza, to przynajmniej dla sposobu, w który polski krytyk nie wywiązywał się należycie ze swoich obowiązków.*

*Gombrowicza poznałem nieco po jego przyjeździe do Paryża, na przyjęciu. Znał moje nazwisko i powiedział mi dwa miłe słowa, ale był tak zajęty i otoczony ważnymi figurami, że nie śmiałem mu się narzucać. Pierwsza pomyłka. Ludzie sławni, wyrwani z chwi-*

lowego kręgu rytualnych uwielbień, bywają — nie zawsze! — bardzo samotni. Pamiętam olśnienie, jakie nawiedziło mnie po przeczytaniu francuskiego przekładu wierszy Celana. Ponieważ wiedziałem, że mieszka w Paryżu, przeleciała mi przez głowę myśl, aby go poznać. Miałem nawet do kogo zwrócić się o polecenie. Ale zawstydzilem się: on, wielki poeta, Niemiec, więc pewnie bogaty, otoczony ludźmi, wkręcony w tysiące obowiązków... a ja nudziarz nikomu nie znany, co Francuzom udziela lekcji polskiego, w każdym zaś niemieckim zdaniu sady przynajmniej dwa błędy. Ale naprawdę przeczytałem pierwsze bodaj przekłady Celana na francuski, on sam zaś, skłócony ze wszystkimi, a zwłaszcza ze sobą, błąkał się i rozpaczał w tym przytulisku rozbitków, którym był wtedy Paryż. Dowiedziałem się tego parę lat później, kiedy popełnił samobójstwo. Pewnie, że na nic bym mu się nie przydał, ale przestanie podziwu nie sprawiłoby mu na pewno przykrości.

Gombrowiczem opiekowali się rozmaici ludzie, przede wszystkim niezmordowany Jeleński, że jednak był — w głębszym znaczeniu — sam, dowodzi tonacja paryskiego i berlińskiego dziennika. Kiedy wrócił do Francji, dowiedziałem się, że poważnie chorował i znajduje się na rekonwalescencji w Royaumont. Mieszkaliśmy i on i ja nie daleko, tym łatwiej więc go odwiedzić. Byłem jednak trochę niechętnie skrępowany. Gombrowicz był w każdym calu przedwojenny, dobrze wychowany, ale raczej pański: nic o mnie w istocie nie wiedział, musiałem więc zdać przed nim egzamin z inteligencji i rozeznania. Znając dość dobrze dzieło, nie panowałem nad jego problematyką, szedłem ścieżkami przetartymi, nie miałem zaś odwagi czy tupetu zacząć od Sasa. W samym zaś człowieku — inaczej niż u Miłosza — było coś takiego, co od razu, od podania ręki, wzbraniało zachowywać się zwyczajnie, pogawędzić sobie o niczym, wspominać znajomych, opowiadać anegdotki.

Co gorsza, Gombrowicz, dowiedziawszy się po przywitaniu, że moja żona jest lekarzem, zaczął ją namolnie namawiać, aby uzbroiła się w zatrutą strzykawkę i zniemacka pozbawiła go życia, tak aby nie zdążył się połapać, co się dzieje. Wracał do sprawy tak nudno i natarczywie, że nie mogła być gierką — za co ją najpierw wziąłem — ale fantazmatem przygnięcionego chorobą człowieka. W jego rozdrażnieniu był wyraźnie żal do świata i wszystkich, że zdradza go własne ciało — pretensja, którą i ja przecież znam. To nie on zepsuł sobie serce; zrobili to «inni», może nieumyślnie i nie bezpo-

średnio; i teraz «inni», jako przedstawiciele porządku świata, zobowiązani byli wyciągnąć konsekwencje: uchronić go od cierpień, zabić nie przerażając. W jego zachowaniu było — nie tylko w okoliczności choroby — coś dziecinnego, rozkapryszenie, podniesione do najwyższej ludycznej doskonałości. Umiał nad tym rozkapryszaniem panować, jeżeli stawało się składnikiem gry, którą prowadził ze światem; jeżeli jednak inicjatywa przechodziła do świata — a więc do jego serca, płuc itp. — słabła także kontrola i pod dostojeństwem (albowiem umiał być też dostoyny) prześwitywało dziecko. Było to bardzo szczególne zachowanie, może trochę wstydliwe. Kiedy poczuł się lepiej, zachowywał się całkiem inaczej.

Kilka wizyt w Royaumont, spaceru po parku i przejażdżki odrapanym autem po lesie Chantilly, gdzie zajechaliśmy raz do niestęchanie luksusowej kawiarni, którą Gombrowicz starannie wyszukał. Było tam tak drogo — chyba z sześć franków chcieli za samą herbatę, w 1964 roku! — że nie mogłem się nie zgodzić, aby zapłacił także czy całkiem Gombrowicz. Przejażdżki sprawiały mu przyjemność, bo niemal zupełnie nie mógł się ruszać — sto, dwieście metrów wokół opactwa — a poza tym nasza zgroza finansowa, widoczna dla tak bystrego obserwatora, na pewno go rozbawiła. Rozmowy jednak, chociaż parogodzinne, były raczej drętwe, przynajmniej jak na nasze obustronne możliwości. Gombrowicz szukał, jak by mnie zaczepić, rozdrażnić, do jakiego dobrać się czulego punktu. Ja jednak byłem — przez jego twórczość i przez to, co o nim wiedziałem — uprzedzony o tej taktyce, skłonny więc byłem godzić się na wszystko, co mówił, podobnie jak godzimy się na przedmiot obserwacji, na muchę pod mikroskopem. Skrzyżło się, ale iskiereki nie mogły podpalić ogniska.

Szukał i próbował mnie tak, jak — o ile mogę sądzić — czynił z ludźmi zawsze. Miał przed sobą młodego krytyka z Polski: aby go napocząć, wystawiał sobie do strzału stereotyp. Zajmuję się podobno literaturą polską, na dobitkę młodą. Ale cóż to znowu ważnego, Polska, czy to co ludzkie, powszechne, nie powinno mieć pierwszeństwa? Czyż los jednostki — a więc mój — nie ważniejszy od społecznych zobowiązań? «Niech pan żyje dla siebie» — pouczał. A współczesna twórczość, czymże ona jest? Prowincjonalnym nadymaniem się do świata. Interesuje mnie teatr? Teatr umarł, poza tym zaś ludzie po to tylko zajmują się sztuką, aby postawić się i wywyższyć; nie dzieło jest ciekawe i nawet odbiorca dzieła,

ale to wszystko, co powstaje między różnymi odbiorcami. Nie ominęła mnie też diatryba przeciw muzeom i artystycznej turystyce, czyli przeciw temu właśnie, czego się wtedy nauczyłem.

Jak widać, tematy były znane. Zaczepki mogły być równie dobrze inne, co powodowało, że w odpowiedziach oscylowałem między rezerwą a grą. Czasem bałem się go urazić, mówiłem więc: zapewne, ma pan słuszność... ale nie wszyscy podobnie reagują... i tym podobne eklektyczne bzdury. Czasem znowu sprzeciwiałem się, ale nadto jakoś ostentacyjnie, co on wyczuł, zwłaszcza za drugim razem. Pojął, że bronie sądu przeciwnego nie dlatego, że mi na nim zależy, ale że, nauczony, chcę rozniecić dyskusję i podpuścić go do ataku. To już był postęp, ale niewielki; bo on chciał gry, która by — w pewnej chwili — przestała być komedią. Jak pies z kotem, jeżeli się naprawdę do siebie przyzwyczają: grzeją się wzajemnie i nawet dzielą pożywieniem, a jednak — czasem — krew idzie spod futra. Gra miała karmić się powagą i powaga nabrzmiewać grą. Tak było z pensjonariuszami Royaumont, gdzie Gombrowicz istotnie (nie tylko na kartach «Dziennika») nauczył się rozwścieczać Francuzów, zwłaszcza zaś «intellectuels de gauche». Wymacał prędko środowiskowe tabu: podetrzeć się trójkolorowym sztandarem i urządzić burdel na grobie matki uchodzić będzie zawsze za stymulujące; istniał jednak wtedy taki sposób mówienia o Żydach i taki o Związku Radzieckim, który nieuchronnie wyprowadzał z równowagi szanującego się intelektualistę. Mówiono mi, że stał się w końcu postrachem Royaumont i że wśród gości byli ludzie, którzy uważali go za faszystę albo za wariata. Lepiej go było stamtąd zabrać: pojechał na południe.

Po cóż on tak siebie i ludzi męczył — bo musiało to być w końcu i nudne, i męczące, zwłaszcza dla tych, którzy przejrzeni reguły zabawy? Postępował ze mną dokładnie jak z innymi — także w dziele pisanim — i należałem do tych, przyznaję, których muilił czy nawet nudził, aczkolwiek ani na chwilę nie przestawałem go podziwiać. Zasadę tej życiowej praktyki znaleźć oczywiście można w wypowiedziach pisarza. Póty jesteś człowiekiem — czyli wolnością — póki potrafisz zmienić własne i cudze uczucia, myśli, przekonania. Moralność wolności praktykował Gombrowicz tak, jak to możliwe artyście, czyli za sprawą gry i wyobraźni. Jedność człowieka i pisarza — roli społecznej i wizerunku odbitego w książce — posunął najdalej, jak w moim życiu widziałem. Tym samym

przymuszał do szacunku. Jego frazesy — bo czymże innym jak nie frazesem są rozmaite «niech pan żyje dla siebie, człowiek powinien żyć przede wszystkim dla siebie» — były jakoś poświęcone. Powtarzał w rozmowie całe partie «Dziennika», ogłoszone już czy właśnie napisane — a przecież nie było to puszczenie zgranej płyty. To, co mówił, było całkowicie upewnione, zagwarantowane zachowaniem... zagwarantowane całym istnieniem, aż do nudy włącznie. Sprzeczności, kaprysy, paralogizmy nie przeczyły sobie, ale składały się na całość żywą. Można powiedzieć, że był aktorem. Ale zarazem los ludzki uznał za aktorstwo. A więc aktorstwo stawało się i nie stawało prawdą, jak w paradoksie Kreteńczyka. Co można więcej osiągnąć.

A przecież był słaby i bał się śmierci. Był sam i bał się samotności. Świadczyły o tym ostrożność ruchów, zsiniałe wargi, zadyszka. I myśl natrętnie błędząca wokół śmierci też nie mogła pomylić. Któż by się dziwił albo szydził. Nigdy nie podawał się za nikogo innego niż za nauczyciela życia — śmierć nie wchodziła w rachubę, skandalem było cierpienie, nie uważał wcale, jak Plato, że prawdziwym filozofem jest ten, kto nauczył się umierać. Więc miał w jakimś sensie rację żądając, aby go lekarz chytrze uśmiercił. Tak mi się wydawało już wtedy, w Royaumont, chociaż trudno było uwierzyć w to, co mówił i przeżywał, bo wspaniałe drzewa, goście spacerujący po wyżwirowanych ścieżkach, tenis nie opodał, opactwo promieniujące intelektem, który chował się w swój komfort najwyższy, w spokój i dyskrecję... odbierały prawdziwość ewentualnościom, o których stale myślał. A jeszcze jeden był dowód jego choroby: był dobry i pytał o zdrowie innych. Potem mu przeszło i właściwie, jeśli cenić konsekwencję, powinno mu było przejść.

W czasie tych kilku rozmów — spędziliśmy z nim jeszcze dzień w Vence, rozpoczęty zręcznym splawieniem dzieci: dał im po dieście franków i poradził, aby poszli grać w baby-foota — odczuwałem nieraz silne przyptywy obojętności. Twój świat nie jest moim światem — mówiłem sobie — nie chcę, abys mnie uczył i prowadził, nie pójdę z tobą, choćbyś mi złote góry obiecywał (duchowe, bo cóż on, biedak, co przez lata sprzedawał po kilkadziesiąt egzemplarzy «Ferdydurke» rocznie...). W tej odmowie mieszała się prawda z rezygnacją, opór wiary z niechęcią do polemiki, może nawet z lękiem, że zostanę przekonany, albo raczej, że zostanę z otwartą gę-

ba, bez argumentów. Jednak czułem — widziałem — że z tej postawy wytryska mu sztuka; że nosi w sobie tajemniczy pakt z demone sztuki, który mu w zamian za głoszenie egotyzmu i anarchiczne prowokacje przynosi dzieła piękne. Stąd niewspółmierność sporu, nawet w moim wewnętrznym poczuciu: mogłem powiedzieć tysiąc mądrych i pięknych słów, ale nadaremnie, ponieważ jemu sztuka zaświadczała nawet słowa głupie i niezdarne. Więc jak głos podnosić, jak oponować, jak mniemać? Lepiej już nic nie mniemać. Albo mniemać milcząc.

Lecz wolałbym już porzucić Gombrowicza, zostawić go w Vence z Ritą i psem, jak dystygowanie spoziera, pije herbatę i nogę za nogę zakłada. W tym, co napisał, jest tyle otchłani, tyle możliwości, że kilka wrażeń, wyniesionych z rozmowy, co najwyżej leciutko podmalowuje jego obraz, także dla mnie. Jednak, kiedy mówił swoje głupstwa o strzykawce i lekarzu, miał o tyle słuszność, że swoją twórczość ufundował na zmianie, młodości, wolności, tej wolności, która zawsze może stać się czymkolwiek, nawet błahostką. Otóż jego ciało stało między nim a jego wolnością, czyli uprawianiem literatury. Nie mogąc już być źródłem, medium czy narzędziem zachceń, stawalo się czystym oporem, trudnością i ciężarem. Gombrowicz mógł być sobą tylko w ruchu: dość przypomnieć zakończenia dzieł. Ostatnim gestem pisarz stara się odwrócić wniosek, zbić z tropu czytelnika, w ostateczności — zagrać światu na nosie. Ciało, cierpienie zamykało go w formie. I nawet nie o tym myśle, że upokarzało: zapowiadało śmierć. A on nie mógł zgodzić się — w sobie — na śmierć, bo śmierć musiała utożsamić go z jakimś momentem jego bytowania, musiała podkreślić jego sumę czy wydestylować esencję, wszystko jedno, jakiego użyć terminu.

Można oczywiście powiedzieć, że to nieuchronne. Ale czymś innym jest nieuchronność dana zewnątrz — pękające naczynko, wytarta opona czy lekarz ze zdradziecką strzykawką — czym innym zaś ta sama nieuchronność uwewnętrzniona. Godził się, bo nie mógł inaczej, na śmierć daną z zewnątrz, na śmierć — rzecz; odmawiał zaś chyba zgody na własną skończoność, jej absurd przeżywał tak radykalnie, że marzył o przerzuceniu winy na innych. Inaczej mówiąc, w swoim wewnętrznym świecie nie mógł zrobić żadnego miejsca dla śmierci, ponieważ ten świat został raz na zawsze określony jako możliwość zmiany, śmierć zaś kazałaby mu się zgodzić — choćby na oka mgnienie — na zamkniętą formę losu, co byłoby za-

*przeczeniem i twórczości, i postawy. Ja zaś — mimo wielkiego lęku — rozumiałbym mądrość jako zgodę na formę, w której się umiera czy umrze. Dlatego, jak myślę, tak natrętnie wpychał lekarzowi w rękę urojoną strzykawkę.*

1966—1980

*Jan Błoński*